Rok I. Kraków, 15 lutego 1870. Ner 5.



Czasopismo „Kwiaty“ wychodzi trzy razy na miesiąc, tojest 5, 15 i 25.

INSERATY

przyjmują się za opłatą 4 centów od miejsca drobnego wiersza (petit) z dołączeniem 30 centów na stępel rządowy, od każdorazowego ogłoszenia.

TREŚĆ:

PRENUMERATA:

roczna . . 6 złr. = 25 frank. = 4 tal. 15 sgr.
półroczna 3 „ = 13 „ = 2 „ 10 „
kwartalna 1 „ 60 cent.

którą posłać należy pod adresem Redakcji „Kwiatów“ ul. Florjańska L. 334.

Reklamacje nieopieczętowane, nieulegają opłacie pocztowej.

SZKICE
Z ŻYCIA ARTYSTÓW.

(Ciąg dalszy).

Wszelkie dalsze stosunki moje i powołanie moje obecne, zdawał się znać dokładnie. Zaniepokoiło mnie to bardzo, bo wiedząc że z agentem sprawa, nie mogłem w obawie mojej przewidzieć, do czego to wszystko doprowadzić może, i pytałem go nawzajem, coby było powodem, że mnie o to wszystko bada.

— Jestto tajemnica, rzekł mi, która się bardzo szczęśliwie dla pana rozwiązać może. Ja nie jestem upoważniony do odkrycia tej tajemnicy, ale zdaje się, że jacyś krewni chcą odszukać pana. Prawdopodobnie jest to jakiś spadek, czy coś podobnego.

Że główny akcent kładł na stosunki rodziców moich i na rok i miejsce mego urodzenia, więc dałem mu krótką informację, którą przy mnie spisał w pugilaresie. Rodzice moi odumarli mię w dzieciństwie, i nie widziałem przyczyny tajenia stosunków, które dawno w grobie legły. Widywałem tego jegomościa czasem jeszcze na ulicy, ale udawał że mię nie poznaje — i tak minęła się ta rzecz, o której dawno byłbym już zapomniał, gdyby mi się świeżo nie była przypomniała.

Miesiąc będzie temu, jak o szarej godzinie wróciłem do domu, zapaliłem lampę, i chciałem się rzucić na sofę — ale jakież zadziwienie było moje — kiedym na tej sofie ujrzał leżącego i śpiącego człowieka. Miał na sobie płaszcz wojskowy moskiewskiego żołnierza, wielki szram od cięcia na policzku, a głowa jego, siwa już zupełnie, spoczywała na mojej skórzanej poduszce, którą wziął widocznie z łóżka nim się tu ułożył. Jakkolwiek nie umiałem sobie zdać sprawy z tego, coby to wszystko znaczyło, przejęła mię jakaś cześć dla blizny i siwizny, więc ocieniłem lampę, aby nie raziła śpiącego, i usiadłszy przy nim na krześle, wpatrywałem się w te rysy twarde, które sen ułożył do spokoju.

Nagle ocknął się śpiący, zerwał się na równe nogi, i stając ostro po wojskowemu przedemną, zapytał:

— Kto wy?

Wymieniłem mu imię moje, a on wyciągnął się jak struna przedemną, salutował po wojskowemu, a potem pokazał mi paszport rosyjski, na którym moje własne wyczytałem imię. A trzeba ci wiedzieć o tem, że noszę imię ojca mego. O bliźnie ojca mego na twarzy, słyszałem nieraz od matki mojej — odniósł on ją w bitwie pod Raszynem, nim się jeszcze do niewoli moskiewskiej dostał pod Mozajskiem, w której bez wieści zginął. Wszystko wydało mi się w tej chwili jasne: Nie zginął, lecz żyje i wrócił! Ojcze! zawołałem i rzuciłem mu się do nóg, ale on stał niemy jak pień, bez słowa, bez ruchu, bez wyrazu w twarzy, jak soldat moskiewski i trzymał *pa szwam* ręce i powtarzał tylko: *Ja ruskij czełowik*, *carskaja sobaka!* Czyby rozum postradał? myślałem — ale zkąd się tu wziął i jak się dopytał o mnie? Próbowałem przemawiać różnemi językami, myśląc, że może w długiej niewoli po polsku zapomniał, ale wszystko na próżno — ciągle powtarzał to samo: *Ja ruskij czełowik*, — i zdało mi się w końcu, że czy nie słyszy tego co do niego mówię — czy nie rozumie?

Od małej dziewczynki kamienicznych stróżów, która mi służy, a która teraz do pokoju wbiegła, dowiedziałem się, że szwajcar z rosyjskiej ambasady wprowadził go do domu i mego pokoju, i że uprzedził o tem jej rodziców, iż to jest człowiek niepełnego rozumu i głu-

chy, który z Rosji wraca, i którego tu do mnie odprowadzić kazano, abym się nim jako jego imiennik zajął.

Wyobraź sobie rozpacz moją! Ujrzeć w końcu ojca, którego dawno za umarłego miałem, i widzieć go w takim stanie, w obłąkaniu i głuchocie pogrążonego! Próbowałem rozmawiać na migi, tłomaczyłem mu że jestem synem jego, pisałem kredą na tablicy po słów kilka w różnych językach — ale wszystko napróżno, bo wskazując na pismo dawał znaki że nie rozumie, a wskazując na uszy dawał mi do poznania, że nie słyszy. Kiedym go ściskał i całował, stał nieruchomo jak słup — i ani promień światła nie błysnął w jego oczach, ani jeden muszkuł nie drgnął w twarzy! Żem tej nocy sam nie oszalał, to jakiś cud Boski — bo czułem że mi się coś w mózgu przekręca. Choć już późno było, kazałem przynieść wódki, wina, bułek i przekąski. Kiedym do niego przypijał wódkę, skinął lekko głową i ostre rysy moskiewskiego sołdata, przybrały wyraz pewnej łagodności, a nawet lekkiego uśmiechu. Gdym mu przekąskę podał z uszanowaniem, prosząc znakami aby coś przyjąć raczył, przeżegnał się, wziął bułkę, pocałował ją, rozłamał, a biorąc dla siebie jeden kąsek tylko, oddał mi resztę, i pokazał mi na migi, abym jadł.

Prosiłem go w końcu, aby raczył usiąść — i usiadł sobie, dobył krótką lulkę z kieszeni i nałożywszy ją, wykrzesał sam sobie ognia, a lubo mu zapałki podawałem, nie chciał je użyć. Zająłem się pościeleniem łóżka mego i prosiłem, gdy lulkę skończył, aby spocząć raczył, ale on dał mi odprawę ręką, a zdjąwszy płaszcz z siebie, przeciągnął się na sofie i nakrył płaszczem, przyjmując tylko skórzaną poduszkę pod głowę, mnie zaś wskazywał ciągle na moje łóżko i żądał widocznie tego, abym zgasił lampę i ułożył się do snu. Ranny ruch miasta i wozów pracowitej rzeszy, na godzin parę przededniem poczynał już ożywiać ulice, a jam nie spał jeszcze — słyszałem także, że się mój gość przewracał i wzdychał. Dobrze już na dzień było, gdym się przebudził.

Od tego czasu upłynął już miesiąc przeszło, a ja stoję do mego ojca w tymsamym stosunku, w jakim do niego w pierwszej chwili stałem, to jest — że ani się niczego dopytać, ani dowiedzieć nie mogę. Co więcej, z każdą chwilą budzi się w mem sercu większa wątpliwość, czy ten człowiek jest ojcem moim? Nie wiem nawet tego, za kogo mnie ma, a niema środka porozumienia się, bo nie słyszy i w żadnym języku czytać nie umie.

Najpowolniejszy dla niego i z największą czcią, jak dla ojca, zostawiłem mu wszelką swobodę i staram się we wszystkiem mu usłużyć, coby mu potrzebnem lub miłem być mogło. Widząc że się nudzi, chodziłem z nim na przechadzki, ale on niema żadnych potrzeb i niema żadnych przyjemności życia. Po kilku dniach dał mi do poznania, aby się nim nie zajmować, i począł sam wychodzić na miasto, a powracał do mnie dopiero wieczorem, by zjeść razem obiad. Widząc, że sam wychodzi, ofiarowałem mu aby wziął pieniędzy z sobą, ale nic nie przyjął i zdaje się, że ma sam jakieś pieniądze. W niepokoju o niego puszczałem się za nim w niejakiem oddaleniu, aby śledzić kroki jego, i dowiedzieć się, czem się przez dzień cały zajmuje. Otóż, ledwo że się dzień zrobi, bierze lulkę, kapciuch i krzesiwo do kieszeni, i idzie do Prateru. Po drodze kupuje wielki bochenek chleba i funt soli — wstępuje następnie na wódkę i śniada, a zjadłszy kawał chleba z solą, idzie następnie do Prateru pomiędzy jelenie, siada sobie na pniaku, a krając chleb na kawałki, posypuje go solą i karmi z ręki jelenie, które go tak znają, że już zdaleka lecą na jego spotkanie i odprowadzają go następnie aż do bram Prateru. W Praterze utworzyli sobie już Wiedeńczycy jakąś legendę nawet o warjacie moskalu, któremu się zdaje, że jest jeleniem, więc przebywa przez dzień cały z jeleniami i karmi je.

Czasem dobrze jeszcze przed południem idzie nad brzegi Dunaju — i całemi godzinami zamyślony patrzy na bieżącą wodę. Są tam składy drzewa, więc na kilka godzin zachodzi czasem do traczy: znać w dobrej zażyłości jest z nimi — bierze piłę lub topór i wyręcza tego albo owego robotnika, przerzynając sągowe polana, lub szczypiąc toporem krótkie łupki drzewa na drobne polanka. Myślałem zrazu, iż widząc ubóstwo moje, nie chce mi być ciężarem i zarabia w ten sposób, aby nie potrzebował grosza odemnie. Ale gdzietam! on kupuje im piwa i wódki za to, aby mu pozwolili bawić się tą robotą, rozmawia się z nimi na migi doskonale, przyjmie kieliszek wódki, jeżeli go nim przy robocie poczęstują, ale częstuje ich zato nawzajem tytoniem lub cygarami — a gdy mu po kilku dniach zapłatę dawać chcieli, bo umie robić jak mówią za trzech, tak się rozgniewał wskazując na serce i niebo, że Niemcy aż potruchleli — jednego z nich wziął za ramię i wstrząsnął nim tak silnie, że Niemiec aż tchy stracił. Nazajutrz po tej scenie, przyniósł z sobą do roboty własną piłę i trzy najlepsze topory, a na zgodę z Niemcami przyniósł sztof wódki, kiełbasę i bochenek chleba, ostrzegając, aby mu nikt jego narzędzi nie ruszał.

W istocie, podziwienia godną jest prostota i siła tego człowieka. Ale zkąd tak proste gusta w byłym sztabowym oficerze wielkiej armji Napoleona? dlaczego tylko z prostactwem przestawać lubi, i tylko w zabawie z jeleniami twarz się jego wypogadza?

Czy mój ojciec takim być może, gdyby żył? Czy ten człowiek jest mym ojcem w istocie? Któż mi na to odpowié??

— Ambasada rosyjska — rzekł solenizant nawet dosyć wesoło.

— Tak — Moskwa rzuciła matkę moją i mnie w sieroctwo i nędzę, — Moskwa pozbawiła mego ojca pozycji, rozumu i słuchu, — Moskwa czycha na mnie od lat dwóch na wszystkich drogach i chce ducha mego ujarzmić i talent mój złamać, by je wprzęgnąć do rydwanu panslawistycznych jeńców — a ja, mam iść do Moskwy dla odszukania mego rodowodu i znieść jej urągania, odpytując śladów sławnego oficera wojsk polskich wielkiej armji Napoleona!! O, pamiętam co mi ksiądz Lipski mówił: „Daj Moskwie jeden palec, a ona weźmie po tym palcu całą rękę, a po tej ręce weźmie ci całą ziemię, a po tej ziemi wywiedzie cię z rozumu,

wyzuje z obyczaju i języka, weźmie ci twego Boga i twoje sumienie i zbawienie twoje!“ Żyj ty sobie z sekretarzem moskiewskiej legacji — ja nie plunę nawet w tę stronę! — I w złości cisnął cygarem o ziemię....

— Mój Felicjanie — rzekł spokojnie solenizant, bądź sprawiedliwy i chciej rozróżniać przyjaciół od nieprzyjaciół twoich.

Felicjan spostrzegł i umiarkował się w jednej chwili.

— Wybacz mi przyjacielu, ale proszę cię nie tykaj tej strony, która dziś tem boleśniej gra we mnie, odkąd człowieka tego poznałem, który nie wiem czy jest, czy nie jest mym ojcem?

Tu podano wieczerzę. Felicjan nie tknął się niczego, wypił tylko zdrowie solenizanta i palił cygaro.

— Przed tygodniem może, mówił dalej po niejakiej chwili, zrobiłem osobliwe odkrycie. Często, kiedy maluję, siada mój ojciec za mną, i przypatruje się całemi godzinami mej pracy z wielkiem upodobaniem. Tak siedział za mną, kiedym wykreślał owal, chcąc dać stolarzowi miarę na bletram. Robota ta szła mi bardzo niesfornie — i owal nie chciał się złożyć.

Uśmiechając się, patrzył mój ojciec na mnie, a potem przeprowadził mnie do tablicy, wykreślił elipsę bardzo wprawnie, przeciągnął po niej wielką i małą oś — a następnie spisał bardzo powoli, tak, żebym mógł zrozumieć każde ogniwo geometrycznego zadania, całe działanie na tablicy. Kiedy skończył, starł tablicę gąbką i dał mi kredę do ręki — ale dałem mu do poznania, że działania powtórzyć nie potrafię. Powtórzył je tedy bardzo cierpliwie po raz drugi i trzeci, a gdym jeszcze działania nie zdołał powtórzyć, zniecierpliwił się trochę, i wbiwszy dwa gwoździe do tablicy, włożył na nie związany sznurek, a po sznurku oprowadzając owal kredą, nauczył mnie praktycznie wykreślać elipsę. — Drobna to na pozór okoliczność, ale świadcząca o jego wykształceniu i dawniejszem powołaniu wojskowego, który ukończył nauki swojego zawodu. Odkrycie to jednak nie poprowadziło mnie ani na krok dalej.

— Z tobą trudna sprawa, mówił solenizant, ale gdybyś chciał obrać jedyną drogę, która tu do celu prowadzi, nie odmówionoby ci w ambasadzie rosyjskiej potrzebnych objaśnień. Oni znają tam dobrze przeszłość twego ojca, wiedzą o tem że był pułkownikiem wojsk polskich za czasów Napoleona, wiedzą, że ty jesteś synem jego, i ambasada rosyjska w Wiedniu przyłożyła się głównie do przeprowadzenia potrzebnych not i do uwolnienia ojca twego z niewoli. Sekretarz ambasady mówił mi nawet, iż pragnąłby w jakikolwiek sposób dać ci dowód swojej sympatji. Widział on kilka twoich obrazów, i nie byłoby w tem nic nowego, gdybyś na koszcie rządu rosyjskiego odbył artystyczną podróż. Pokaż się parę razy w sławiańskiej kawiarni, a rzecz ta się złoży.

Felicjan był tak rozgniewany tą propozycją, iż nie dawszy odpowiedzi, powstał dosyć nagle i opuścił salę. Za nim tedy pospieszył solenizant — a Henryk, który się całej rozmowie przysłuchiwał, odprowadził obudwu oczyma aż do drzwi.

W nowem świetle i w coraz korzystniejszem wydał mu się Eelicjan — a stary pułkownik wzbudził w sercu jego żywy udział. Teraz jeszcze więcej wydało mu się że mógłby być pożytecznym, a nawet potrzebnym dla ojca i syna. Obudwu uważał za ludzi należących do swego serca i swojej rodziny, i nie miał tego za traf ślepy, że tak z przypadku dowiedział się o wszystkiem, o czem tu wiedzieć trzeba było, chciawszy pojąć położenie tak ojca, jak syna. Jedno go tylko bolało, że podsłuchał rozmowę; ale któż mógł przewidzieć, o czem Felicjan z przyjacielem swoim mówić będzie? Jedno mu było przykrem tutaj, że i wzrok Felicjana padał często na niego. — Jakże mu się tedy pokaże i co pomyśli Felicjan o przyjacielu dzieciństwa, który od podsłuchów zaczyna odnowienie znajomości, i tak niedyskretnie wdarł się w tajemnice jego serca?

Okoliczność ta oddalała Henryka od Felicjana na czas niejaki, póki się nie zatrze pamięć owego wieczora, a z nią i twarz człowieka, który obok przy stoliku siedział.

Ułożył sobie tedy Henryk nie zbliżać się do Felicjana, ale już dnia następnego odszukał pułkownika w Praterze.

Był to prześliczny zimowy ranek. Lekki śnieg popruszył drzewa i łąki parku — słońce wschodziło i stało złotą kulą nad poziomem.... W powietrzu była zupełna cisza....

Wzdłuż środkowej, szerokiej alei parku, harcowało kilku jeźdźców na niesfornych koniach — zresztą pusto było w parku, i tylko jelenie, wychodząc z gęstwin na otwarte trawniki, znaczyły trop po świeżym śniegu. — Za tym tropem puścił się Henryk — i ujrzał w znacznem oddaleniu człowieka: stary rogacz biegł żwawo ku niemu, a za nim, już wolniej niosło się stado ociężałych łań.

Był to pułkownik, który zwyczajem swoim usiadł sobie na pieńku, a krając i osypując solą chleb, karmił nim łaskawe jelenie.

Długo przypatrywał się Henryk tej zabawie z daleka — a pod pozorem zapalenia cygara, zbliżył się zwolna i prosił o ogień. Ścisnął rękę pułkownika, dziękując mu za ogień — i przyglądał się znowu z upodobaniem ruchom tych jeleni, które z dłoni chleb wprawdzie brały, ale dotknąć nie dozwalały się palcem. — Ztąd powstała rozmowa, czyli raczej niejakie porozumienie pomiędzy pułkownikiem a Henrykiem. Henryk udawał, iż nie wie o tem że pułkownik głuchy, a pułkownik patrzał uważnie na usta mówiącego, i zdawało się że wszystko i słyszy i rozumie. Pułkownik podawał mu po kawałku chleba, chcąc żeby i on z własnej ręki pokarmił jelenie, i śmiał się, gdy mu nie ufając, nie zbliżały się do niego.

Z półtory godziny trwała może ta zabawa, wtem dała się słyszeć myśliwska trąbka.... Był to znak łowczego parku i czas karmienia jeleni sianem, które im w jasłach dawano. Na odgłos tej trąbki ruszyły pędem jelenie, ale już też i ostatni kawałeczek chleba był przedtem jeszcze najbliższej łani podany.

Wolno wracali obaj żywiciele jeleni drogą ku tej stronie parku, która mieści budy z żywnością i różne domki z krotochwilnemi igrzyskami dla ludu.

Tu wstąpił pułkownik do jednej kantyny, w której go jak się zdało znano, bo dziewczynka wybiegła na

jego spotkanie, i podała mu jego flaszkę, na którą wskazał, z wódką i duży bardzo kieliszek do wódki.

Pułkownik nalał, i wypił po polsku w ręce Henryka — Henryk przyjął kieliszek z uszanowaniem i wypił go po polsku do razu.

— Polak — rzekł pułkownik niby z cicha sam do siebie, i skłonił mu głową uśmiechając się, jak gdyby mu dziękował, że się z nim wódki napił. Kiedy chciał lulkę nakładać, prosił go Henryk na cygaro — i siadłszy, odłożył lulkę, a zapalił cygaro.

Nic nie mówiąc, siedzieli obok siebie — i spojrzeli czasem sobie w oczy i to wystarczało, i przyszło pomiędzy nimi do bardzo dobrego porozumienia, chociaż przy rozstaniu ostrzegał go pułkownik, że nie słyszy, ale rad go będzie widział, jeżeli zechce znowuż zabawić się jeleniami z nim razem.

Jakoż od dnia owego, ile razy tylko Henryk nie zaspał wschodu słońca, a jaka taka służyła pogoda, jechał o ranku do Prateru, wysiadał tu z powozu na początku wielkiej alei, a odszukawszy przy jeleniach pułkownika, zabawił zawsze jaką godzinę, i rozstawali się za każdym razem po wódce, którą raz jeden, a drugi raz drugi płacił.

Pułkownik odezwał się czasami tylko kilku słowy, i to złamaną polszczyzną z moskiewska, ale Henryk mówił do niego wolno i wyraźnie, opowiadał mu o Polsce, o swoich podróżach, a pułkownik patrząc uważnie na usta, zdaje się że rozumiał wszystko — i po całych godzinach przechadzali się razem po parku. Pokarmiwszy jelenie, lub usiadłszy w budzie przeglądał Henryk po wódce gazety i opowiadał pułkownikowi, co tam w nich piszą. Czasem nawet mówił do niego po francuzku, a on także zdawał się rozumieć wszystko.

Raz przyniósł mu Henryk wielki kawał najpiękniejszego czyru, spostrzegł bowiem że mu się już czyr kończy, i że pułkownik bardzo oszczędnie po małem kawałeczku bierze tego czyru, gdy mu ognia skrzesać potrzeba. Bardzo wdzięcznie przyjął pułkownik ten dar — przyznał się w istocie że czyru już niema, i zdawał się bardzo dziwić domyślności i uczynności Henryka, biorąc w obie ręce rękę jego. Podziękował mu tak po światowemu i z takim wyrazem twarzy, że wyraz moskiewskiego sołdata znikł gdzieś z twarzy na chwilę zupełnie.

Raz znowu zapytał go o godzinę, a gdy Henryk zegarek dobył, prosił go na migi, aby jemu zegarek dobry kupił, poczem wyjął kilkadziesiąt reńskich i dał Henrykowi na ten sprawunek.

Nazajutrz przyniósł mu Henryk trzy zegarki na wybór, wybrał sobie najtańszy i najprostszy srebrny bez szkiełka kopertą zamknięty — i mówił, że to sołdacki zegarek.

Uderzyło to Henryka, iż nie zapytał nigdy o jego nazwisko, i że mu nie przyszło nigdy mówić ani o sobie, ani o swojej przeszłości. Pragnął on się odkryć pułkownikowi, ale nie widział ani drogi, ani sposobu do tego, nie zbliżywszy się dotąd do Felicjana.

Postanowił tedy złamać tę zaporę — i nie myśląc już o tem, jaki to skutek mieć będzie, odszukał dom i pomieszkanie Felicjana.

Od stróża kamienicznego dowiedział się, że Felicjana w domu nie było — zatrzymał się tedy przed domem na chwilę, i namyślał się, czy mu zostawić kartę swoją, czy nie....

Wtem wychylił się ktoś z nagle przejeżdżającego powozu i skinął kilka razy ręką przyjaźnie — a po chwili zatrzymał się powóz — i młody mężczyzna wyskoczył z niego. Był to konzul francuzki, którego Henryk poznał w Bajrucie, z którym kilka wycieczek razem robił po Wschodzie i w przyjaznych zostawał stosunkach.

Ściskając Henryka, mówił, że dłużej zabawił w Paryżu niż sądził, ale bo też po kilku latach niebytności, nie łatwo mu było oderwać się od Paryża.

— A cóż? zapytał Henryk, czy pamiętałeś pan o prozbie mojej?

— Wszystko mi poszło nadspodziewanie szczęśliwie, ale siadaj pan ze mną, bo jadę właśnie do siebie i mogę zaraz panu oddać wszystkie dokumenta.

I siedli do powozu — a konzul mówił dalej:

— Rozumiałem już, że z niczem powrócę — bo zaprawdę nie łatwa rzecz w archiwach wielkiej armji cesarstwa, po upływie kilkudziesięciu lat, odszukać oficera, którego tylko imię i nazwisko znałem i o którym zaledwo tyle powiedzieć umiałem, że był sztabowym oficerem. Pomimo to jednak, udało mi się zebrać wszystkie dokumenta dla pana potrzebne, a to w taki sposób. Zwiedzałem dom inwalidów, głównie także dlatego tylko, aby powziąść potrzebną informację w interesie pana. Tam rzekł mi stary generał francuzki: „Jeżeli oficer, o którego WPan pytasz, był rzeczywiście sztabowym oficerem, to zaraz tu znajdziemy człowieka, o którego WPanu chodzi, bo w całej armji cesarstwa nie było sztabowego oficera, któryby nie był dekorowany krzyżem legji honorowej, a my tu mamy księgi wszystkich kawalerów.“ — Jakoż znalazło się wszystko, bo do nominacji na kawalera krzyża oficerskiego był załączony cały stan służby pułkownika, o którego panu chodziło, a którego nazwiska dotąd wymówić nie umiem.

Tu weszli do pomieszkania konzula — i z podróżnej teki wydobył on kilka dokumentów, które razem z Henrykiem przejrzał. Od dnia wstąpienia do służby pułkownika aż do rosyjskiej kampanji, były w tym stanie służby wojskowej wymienione wszystkie kampanje, które z kolei odbył, blizny które odniósł, stopnie wojskowe które z kolei otrzymał i krzyże, któremi był ozdobiony w ciągu swej nieskazitelnej honorowej służby. Był on komenderowanym w pewnym czasie do sztabu Westfalskiego króla i do sztabu Murat'a, więc były tu, prócz nominacji wojskowego krzyża polskiego i legji honorowej, patenta na kawalera westfalskich i neapolitańskich orderów, ale do wszystkiego trafił konsul po księgach legji honorowej, i podziwiał z Henrykiem ład i porządek francuskich archiwów.

Nazajutrz wstał Henryk tak rano, że oczekiwał już u wjezdnej bramy Prateru na przybycie pułkownika, który z bochenkiem chleba pod pachą i węzełkiem soli, zbliżał się bardzo raźnym krokiem ku bramie.

Henryk powitał go i prosił, aby z nim wstąpił do małej kawiarni w pobliżu. Pułkownik zdziwił się nieco,

ale powolny na to wezwanie, wszedł z nim razem do kawiarni. Tu siadłszy sobie w osobnym pokoiku, napili się naprzód koniaku, a potem dobył Henryk papiery pułkownika i położył je na stole.

— Wszak pan pułkownik czytasz po francuzku? zapytał bardzo wyraźnie i powtórzył po dwakroć pytanie.

Obojętnie spojrzał pułkownik na niego i milczał — a po chwili zapytał:

— O jakim to pan mówisz pułkowniku? i pierwszy raz wyrzekł po francuzku te słowa.

— O pułkowniku, którego stan służby leży tu przed nami — i wręczył pułkownikowi papiery.

Drgnął mimowolnie, gdy ujrzał wojskowe druki francuzkie i pieczęcie — ale spojrzawszy w papiery, dał do zrozumienia, że nie widzi bez szkiełka.

Henryk podał mu swoje — i z trudnością przejrzał kilka dokumentów, posuwając zawsze palcem po liniach które czytał. Czasem odłożył szkiełko, i jakby zadumany przypominał sobie przeszłe czasy — i patrzał zamyślony w ziemię.... a wracając do dokumentów, przezierał powtórnie raz już przejrzane papiery — a przejrzawszy wszystkie, odsunął je na stronę, wsparł łokcie na stole, zakrył twarz rękoma — i zdało się Henrykowi, że zapłakał!...

Szanując wzruszenie jego, powstał — i patrzał przez okno.

Jakież to uczucia i jakie myśli nie przeszły przez serce i głowę pułkownika w tej chwili, gdzie przed nim na stole leżało świadectwo całego jego życia zeszłego! Ale człowiek, który przeszedł twardą szkołę życia, nie dał folgi uczuciu — i patrzał suchem okiem, lecz z zadziwieniem na Henryka, gdy się znowu do niego przybliżył.

— Ktoś ty? zapytał go pułkownik krótko.

Henryk wyrzekł imię swoje i nazwisko, i dodał imię ojca swego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

TRZEJ RYCERZE.

(Z podania).

Świecił księżyc z wieczora,
W modrej srebrzył się fali,
Stromym brzegiem jeziora,
Trzej rycerze jechali.
Pewnie jadą z wyprawy,
Gdy zakuci w zbroicach,
A zwycięzkie ich sprawy,
Bo wesołość w ich licach.
Duch ich mężny prowadzi,
Dzielne widać junaki,
Będą w domu im radzi,
Bo parskają rumaki.

Tak wśród ciszy jechali,
Gdy się nagle wstrzymali,
I do siebie krzyknęli:
— Patrz! patrz! wodą niesiony,
Wieniec płynie zielony,
Po jeziora topieli.
Czy dziewczęta tu były?
Może drobne ich dłonie
Wieniec w nurty rzuciły.
— Chybaś bracie źle zoczył,
Rzeknie drugi — tam tonie
W miasto wieńca, dziewica,
Cudnej krasy ma lica
Wszak ocalić ją pora. —
A wtem trzeci już skoczył
W czarną głębię jeziora.
Dzika odchłań się pieni,
Piana srebrzy głębinę,
Chciał ocalić dziewczynę,
Za nią zginął w bezdeni.
Oj nie zginął on wcale,
Gdy jeziora wrą fale,
A otchłań drżeć się zdaje;
Jego rumak dno zmąca,
On odpiera, roztrąca
Wodnych duchów tam zgraje.
Takich bojów nie znali
I rycerze już sami,
Tylko starzy mawiali,
Czem są boje z duchami.

Znowu cisza w około,
Drzemią w cichym śnie fale,
Księżyc srebrne swe czoło,
W czystym kąpał krysztale.
Rumak na brzeg wypłynął,
Cały znojny, przybrany
W wodne zielska i piany,
A pan jego? — pan zginął.

Gdzie nad brzegiem głębiny,
Szumią trawy, łoziny,
Tam koń jeźdźca młodego,
Stał i czekał na niego.
Próżno czekasz w ustroni,
Choćbyś długie stał lata,
Kto dno ujrzy w tej toni,
Ten nie ujrzy już świata.

Wtem szmer słychać wśród wody;
Czy to rybki igrają?
Czy to duchy pląsają?
Czy to rycerz sam młody?
Ani rybki igrały,
Ani duchy pląsały,
Głos to jego stłumiony,
Z szmerem fali złączony:
— Próżno w tej tu ustroni,
Stałbyś koniu mój lata,
Kto dno ujrzał tej toni,
Ten nie ujrzy już świata.

Woda serce wystudzi
I do świata i ludzi,
Słonko jemu nie świeci
Do całego już wieka,
Z nieba gwiazdka gdzieś zleci,
Ona gwiazdka człowieka.
Już cię karmić nie będę,
Ni u zimnej krynicy
Czystą wodą napoję,
Ani dzielnie dosiędę,
Ani w jasnej zbroicy
Nie pojadę na boje.
Wracaj koniu do domu,
Droga do dom ci znana,
A tam będzie dać komu
I obroku i siana.
Lecz gdy staniesz przed chatą,
Powiedz mojej macierzy,
Żem wziął żonę bogatą,
Cudnej krasy dziewicę;
Może temu uwierzy
I przeminą tęsknice.

Koń zatętnił kopyty,
Macierz z chaty swej bieży,
I przed wrota wypadła,
Patrzy, oczom nie wierzy,
Rumak stanął jak wryty,
Macierz jak chusta zbladła,
Łez wytrysły jej strugi,
Woła: gdzież mój syn młody!?

Syn nie wróci czas długi,
Bo weselne ma gody.
A ta jego dziewica
Cudnej krasy ma lica,
Z wodnych lilii jej szata,
Modrą falą dziergana,
A gwiazdkami przetkana.
I do tego bogata,
Wielka skarbów komora,
A w zapaśnej komorze,
Wszystkie rybki jeziora,
I wszystko co w jeziorze.
Jakże cudna świetlica
W której biorą ślub młodzi,
Sam im księżyc przyświeca
Srebrząc nurty powodzi,
Aż lśni do dna głębina.
Stado rybek wśród toni,
Co wesoło się goni,
To weselna drużyna.
Godowemi tanami,
To bój z jezior duchami,
Dziki łoskot bałwanów,
To kapela do tanów.

Nim syn wróci twój młody,
Długo będziesz oczyma
Śledzić drogę do chatki;
Bo kto sprawia te gody,
Łzy dla matki już niema,
Ni uścisku dla matki.

Zygmunt Gloger

MIŁOŚĆ MAŁŻEŃSKA.

(Szkic historyczny).

(Ciąg dalszy).

Natura ludzka nigdy nie jest syta. Sprawdziło się to na Chmielnickich. Zaledwie Bogdanowi udało się stanąć na czele ruchu, gdy już jego syn Tymotej zapragnął żony z domu książąt krwi. A upatrując swoją mołodycę coby zrównała ideałowi jego pragnień, a nie rozpłynęła się jak marzenie, jak tęskne tony dumki ukraińskiej po stepach — zwrócił swe oko na księżniczkę Dumną, córkę hospodara wołoskiego Bazylego Lupuli. Dzika natura ukraińca, nieukrócona swawola, nie godziła się z Moskwą, a godnem uwagi jest, że ten ruch kozacki i przywódzcy jego zawsze zwracali się ku Tatarom, gdy Moskwa narzucała się na protektorkę — ostateczność dopiero znagliła Sicz do rzucenia się w objęcia caratu. — Bądź co bądź księżniczka wołoska jak również hospodar Bazyli, odmówili Tymotejowi, gdyż Dumna przez siostrę swoją będącą za księciem Radziwiłłem, była narzeczoną ks. Dymitra Wiśniowieckiego. Ztąd słuszne czy niesłuszne gniewy Ukraińca. Ale czego miłość nie zrobi, to może przymus dokaże. Dla Kozaka dobijać się o kochankę szablą nie nowina, wiedzą o tem sułtani carogrodzcy — gdy łuna pożaru, brzęk szabel i huk rusznic, budził ich wśród ostatnich uścisków huryssek. Ciągnie tedy Ukrainiec do swej krasawicy, a swaty jego to 80,000 Tatarów i mołojców. — 30,000 Tatarów poprzedza orszak swadziebny, prowadzony przez samego sułtana Nuradyna — reszta pod wodzą Tymoteja Chmielnickiego. Pochód zdąża na Batoh wysławszy poprzednio zawiadomienie do chorągwi polskich i zapewnienie o zamiarach spokojnego przejścia przez kraj polski.

Nad brzegiem Bohu w bliskości wioski Batoh, stały chorągwie polskie pod wodzą obudwu Kalinowskich: hetmana polnego — ojca, i oboźnego — syna. Garstka żołnierza bo 9,000 tylko ludzi, zajmowała pozycję okopaną zbyt rozlegle, z przeznaczenia swego dogodną dla większych sił — ale zgubną dla garstki. Obok hetmana i Oboźnego znajdowali się przy chorągwi: Marek Sobieski, starszy brat króla Jana, porucznicy Górka: i Kossakowski, pisarz polny Przyjemski, pułkownik Grodzicki i Czerny.

Któż może ręczyć za nagromadzone materjały palne, jedna iskierka wystarcza dla wybuchu, z małej chmurki często wielka ulewa. Otóż tą iskrą w prochowni czy chmurką na pogodnym niebie był koń, który przypadkowo zapomniany przez zbiegłych do lasów mieszkańców, błądził po łące. Jeden, czy kilka koni, to nie

zmienia położenia rzeczy. Tatarom chodziło o pozór do rozpoczęcia sporu — wreszcie nacierają na obóz. Walka z przemagającą tylokrotnie dziczą niepodobną była, niepodobniejszem było zwycięztwo; mimo to hetman postanawia stoczyć walkę z Tatarami, zanim nadciągną im na pomoc Kozacy pod Tymotejem.

Wtedy Przyjemski pisarz polny podaje inny plan działania, polegający na wyprowadzeniu wojska w bezpieczne miejsce, a sam zaś z pewną garstką chciał się opierać w okopach napadom Tatarów, dopókiby hetman z nowemi posiłkami nie przybył na odsiecz. Dwa miesiące wytrzymam szturm — zawołał Przyjemski. Ale hetman nie chciał się zgodzić na tę propozycyę, a pragnąc jeszcze korzystać z czasu, upornie trwał w zamiarze zrobienia wycieczki na Tatarów. Przyjemski padł na kolana i błagał hetmana o odwrót.

Zapatrując się dziś na cały obrót walki, tak jak ku pamięci potomności podał p. Jan Szaniawski, szlachcic z Sędomirskiego a następnie zakonnik w klasztorze Reformatów w Zakliczynie, który szczególniejszym sposobem ocalał z pośród ogólnej rzezi, nie trudno w planach strategicznych tak hetmana jak i Przyjemskiego dopatrzyć się zarówno stron dodatnich. Pobić Tatarów zanim nadciągną Kozacy, a więc wyciągnąć wszelkie możliwe korzyści, przy słabych siłach, a następnie ujść przed większą burzą, gdy z drugiej strony najzupełniej da się usprawiedliwić chwilowy opór w obozie, mimo złego okopania, zanim nie przyjdzie odsiecz. Bądź co bądź hetman zapragnął walki.

Bój srogi się rozpoczął. Hufce polskie uderzyły w półksiężyc tatarski, tonąc w masie najezdniczej. Wrzawa, krzyk, zgiełk, szczęk oręża, rżenie koni, obraz, który z taką prawdą odmalował nam Malczewski w Marji.

Tymczasem walka się przedłuża, a Tymotej nadciąga z kozactwem i uderza z tyłu na szeregi polskie — na domiar nieszczęścia zajęły się sterty siana i słomy, wiatr niesie ogień na szałasze, pożar w obozie! Niby salamandry wiją się hufce rycerzy w płomieniach. Oręż i pożar dwa żywioły niszczące, czegoż więcej na zagładę potrzeba? Wśród gorącej walki hetman zostaje trzy razy ranny, Przyjemski na czele zastępu walczącego przeciwko kozactwu, zostaje rozsiekany. Z porządku komenda spada na Marka Sobieskiego. Lecz próżne wysiłki przeciwko przewadze barbarzyństwa. Obecnie sztuka polega na zręcznem wycofaniu się z tego koła tatarsko-kozackiego.

Gdy więc hetman ma się ku odwrotowi z garstką rycerzy, nagle, niby piorun z płomienistego nieba, spada wiadomość, że oboźny popadł w niewolę.

Samuel w niewoli! wyrwał się okrzyk z piersi hetmana, i nieszczęśliwy ojciec, nie bacząc na własne niebezpieczeństwo, na pewną śmierć rzuca się na pomoc synowi. Zginął hetman, poległ i Marek Sobieski a 5,000 jeńców stało się łupem zwycięzców. Z tych niewielu ocalało, wszyscy zostali ścięci.

Klęska ta zwana Batowską przypadła r. 1652. Lecz cóż się stało z oboźnym? — najprawdopodobniej zginął.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WYJĄTEK Z PAMIĘTNIKÓW
KSIĘCIA OGIŃSKIEGO.

Księga I., rozdział VII., str. 146 do 164. — *(Jadę na Białoruś — Pasek — książę Potemkin — powrót do Warszawy — rozmowa z królem — list do kawalera d' Aranjo — król wyseła mnie na Litwę — mianowany jestem reprezentantem i deputowanym municypalności na sejm).*

Przesiedziawszy w Warszawie dłużej nad powzięty zamiar, nie mogłem już zwłóczyć wyjazdu swego na Białoruś. Wybrałem się tedy najkrótszą drogą do Mohilowa. Jenerał-gubernator Pasek, wszechwładny w tej epoce, przyjął mnie grzecznie, po przeczytaniu listu, w którym król polecał mu moją osobę. W przeciągu trzech tygodni pokończyłem swoje interesa i miałem zamiar powracać do Warszawy, gdy dowiedziałem się od licznych kurjerów, że książę Potemkin*) ma przejeżdżać przez Mohilew w podróży do głównej kwatery armji rosyjskiej w Jassach. Ciekawość i chęć zrobienia znajomości z tym głośnym człowiekiem, skłoniły mnie do zatrzymania się aż do jego przyjazdu; do czego przyłączyły się usilne nalegania jenerała-gubernatora Paska.

Dzień przyjazdu księcia poprzedzony był powszechnym rozgłosem na przestrzeni przynajmniej 50 mil w około.

Bicie w dzwony, wystrzały z armat, i obłok kurzu wywołany w okolicach miasta licznemi karetami księcia — jak również eskortą wojskową towarzyszącą mu, oznajmiały zbliżanie się tego, którego oczekiwano z większą obawą i niespokojnością aniżeli niecierpliwością. Tłum urzędników, *noblesse*, która zjechała z najdalszych stron prowincji, damy w wspaniałych toaletach, od rana wyczekujące na przyjęcie człowieka, przed którym drżała cała Rosja — wszystko wreszcie co żyło, zebrane w salonach gmachu gubernialnego, spieszyło na schody, ażeby ujrzeć wychodzącego z powozu księcia. Książę w wspaniałym mundurze urzędnika dworu, przechodził wśród tłumu dworaków nie odpowiadając na ich ukłony, a nawet nie zaszczycając ich spojrzeniem.

---

*) Potemkin (Grzegorz) książę, urodzony w r. 1739, był synem niezamożnego szlachcica smoleńskiego. Przed ukończeniem nauk w uniwersytecie moskiewskim, wstąpił do gwardji konnej, Tu miał sposobność zwrócić na siebie uwagę cesarzowej Katarzyny II i odtąd szybko szczeble hijerarchii służbowej przebiegając, w krótkim przeciągu czasu dosięgnął najwyższych w kraju godności. Został hrabią, księciem, Feldmarszałkiem, generał-gubernatorem nowo rosyjskim, otrzymał przydomek Tauryckiego (po przyłączeniu do Rosji półwyspu Krymskiego); obszerne dobra, pałac cesarski w Petersburgu (Tauryckim zwany). Będąc na szczycie potęgi, okazał skłonności despotyczne, wolę niestałą i kapryśną; miał też upodobanie w rojeniu rozległych planów fantastycznych, jak np. wypędzenie Turków z Europy i odbudowanie cesarstwa Byzantyńskiego. Założył kilka miast w kraju Nowo-rosyjskim (Cherson, Ekaterynosław, Nikołajew, Sewastopol) i dał początek flocie czarnomorskiej. Pod koniec panowania cesarzowej, gdy wpływ hrabiego Zubowa przeważać zaczął na dworze, Potemkin wpadł w tęsknotę i nagle w r. 1791 życie zakończył. W Chersonie wystawiono mu wspaniały pomnik.

Jakkolwiek go nigdy nie widziałem, jednakże z tego co doszło uszu moich, utworzyłem sobie portret dość zbliżony do rzeczywistości, a w przekonaniu że książę gardzi wszystkimi, co z uczucia obawy plaszczyli się przed nim, postanowiłem nie przedsiębrać żadnych kroków w celu zbliżenia się do niego, z obawy, by nie wywarło to niekorzystnego wpływu na jego sąd co do mojej osoby. Niebędąc poddanym rosyskim, nie czułem powodów pochlebiania mu; od razu jednakże spostrzegłem, że między innymi wpadłem mu w oko i że powierzchowność moja uderzyła go. Nie wychodząc tedy na schody, oczekiwałem go w salonach razem z dwoma cudzoziemcami, którzy przed chwilą przybyli. Książę zapytał Paska, kto ja jestem, pozdrowił mnie grzecznym ukłonem, a w kwandrans potem pułkownik Baur, jego adjutant, zaprosił mnie na obiad do księcia.

Powróciwszy do siebie, mając jeszcze kilka godzin wolnych przed obiadem, rozmyślałem nad szczególnym wypadkiem, który podał mi sposobność ujrzenia tak blisko tego człowieka nadzwyczajnego i dziwnego, zajmującego uwagę całej Europy.

Wiadomość krążąca ogólnie między publicznością, jakoby żywił w sobie ambicję zostania królem polskim, a której stronnicy jego nie ukrywali, starając się jak najwięcej zjednać mu przyjaciół, albo raczej osób płatnych w kraju; wiedząc nadto, że człowiek ten, ulubieniec fortuny, którego wychowanie było zaniedbane, i który mało miał wykształcenia umysłowego, lecz którego poglądy były bardzo jasne, a postępowanie i zdolności dziwiły tych, co mieli sposobność zbliżenia się do niego — mógł mnie nabawić kłopotu pytaniami tyczącemi się Sejmu Warszawskiego i spostrzeżeniami nad nowym porządkiem politycznym w Polsce. Nie obawiając się ani nie spodziewając się niczego od Potemkina, postanowiłem odpowiadać na jego zapytania szczerze — co mi się udało.

Podczas obiadu, przy którym liczba gości nie przenosiła dwudziestu, książę rozmawiał ze mną wiele o Holandji, którą opuściłem przed niedawnym czasem, a którą znał, jakby tam przepędził całe życie, — dalej rozmowa toczyła się o Anglji, której rząd, zwyczaje i obyczaje doskonale mu były znane.

Wszedłszy w szczegóły nad fabrykami i rękodzielniami angielskiemi, porównywając je z zakładami podobnemi w Rosji, zatrzymał się nad muzyką i malarstwem, dodając, że Anglicy na tych ostatnich nie znali się, i nagle po wymienieniu dwóch malarzy współczesnych, Lampi'ego i Grassi'ego, zwrócił się do mnie, wyrażając się ironicznie, że król polski kazał się malować Grassi'emu o 20 lat młodszym, i że znalazł podobną śmieszność w portrecie księcia Józefa Poniatowskiego, któremu malarz nadał rysy Adonisa przy członkach herkulesowskich.

Skoro spostrzegłem, że książę chciał przedłużać tę rozmowę, rzucając słówka uszczypliwe przeciwko królowi i jego siostrzeńcowi, postanowiłem zwrócić rozmowę do innych prac dwóch wymienionych malarzy i wymieniłem wielu innych artystów współczesnych, a między innymi Smuglewicza, Polaka, który szczególniej jako rysownik, otrzymał niegdyś nagrodę w Rzymie, przynosząc sławę krajowi.

Książę, który powracał ciągle do rozmowy o ujemnej stronie króla, co poczynało mnie niecierpliwić, skończył oświadczeniem, że Smuglewicz miał piękną sposobność okazania swego talentu w obrazie przedstawiającym ustanowienie konstytucji 3go Maja. Lecz z tem wszystkiem, radził mu rzucić gdzieniegdzie na swój obraz kwiatki, które w niemieckim zwą się *Vergismeinnicht*.... Dodał uśmiechając się: „*vous m'entendez — bien*“ (książę mnie rozumiesz?) Mogłem dwojako tłomaczyć sobie zdanie księcia; lecz w tej chwili, skoro widziałem w słowach jego dążność tylko wyśmiania naszej konstytucji i artysty polskiego, nie mogłem powstrzymać się od odpowiedzi, że Smuglewicz posiada w zupełności poczucie, smak artystyczny i talent; że w skutek tego używał dotychczas swego ołówka do przedstawiania faktów historycznych, które istniały, których prawdy nikt zaprzeczyć nie może, i które przyniosły sławę i zaszczyt narodowi polskiemu — że nie chciał on uprzedzać wypadków, zajmując się obrazem będącym w mowie, a konstytucja 3go Maja dostarczała mu tylko pierwszych zarysów; lecz pochlebiał sobie, że praca sejmu warszawskiego skończy się niezadługo, i wtenczas będzie mógł na nowo przedsięwziąć i skończyć dzieło, przekazujące potomności pamięć epoki najgłówniejszej w rocznikach polskich, a unieśmiertelniające być może imię artysty-twórcy.

Książę rzucał na mnie spojrzenia badawcze, zdawał się jednakże nie obrażać, i zmienił natychmiast rozmowę. Po obiedzie wielu Francuzów, Szwajcarów i Amerykanów, obecnych rozmowie, ściskało mnie z całą otwartością serca, za słowa prawdy wypowiedziane w obec człowieka, przed którym nikt nie śmiał z nią występować.

Tegoż samego dnia przy wieczerzy, siedziałem obok księcia, który, oile mi się zdawało, obchodził się ze mną z większą względnością; mimoto po chwili rozmowy obojętnej treści, zwrócił się jeszcze do króla i Warszawy: „Jakim sposobem mogliście stracić głowy do tego stopnia — rzekł — ażeby oddawać dowództwo miasta Warszawy hrabiemu Kazimierzowi Rzewuskiemu? Człowiek ten nigdy nie służył — i niema pojęcia o służbie wojskowej!...“

Uważałem za stosowne zwrócić rozmowę do innego przedmiotu, za pomocą odpowiedzi lakonicznej i niejasnej, lecz skoro książę ciągle nalegał, dowodząc niestosowności w wyborze komendanta Warszawy, odpowiedziałem, że hrabia Rzewuski odbył pilne studja zagranicą i że prawdopodobnie przynajmniej teoretycznie znał taktykę wojenną. „Co mi książę mówisz o teorji! odpowiedział Potemkin, często powodzenie i zwycięstwo polega na umiejętnem odstępowaniu od prawideł sztuki.“

Pragnąc zakończyć rozmowę, uważałem za odpowiedni w tym celu komplement, zwrócony do osoby księcia — i powiedziałem: „Bez wątpienia, mój książę, nikt lepiej sądzić o tem nie może nad Was i w Waszej to szkole należałoby się kształcić.“ Lecz skoro książę, który nie zdawał się być obojętnym na ten komplement, chciał dać mi do zrozumienia, iż o wiele wyżej stoi

nad to-co-sobie wyobrażałem — rzekł z wyniosłą dumą: „To nie wystarcza; potrzeba urodzić się do tego." Odpowiedziałem natychmiast: „A przedewszystkiem potrzeba mieć wiele szczęścia."

Od tej chwili książę był ugrzecznionym jak nigdy, a skoro przezto dobrze mnie usposobił ku sobie, rozmowa płynęła swobodnie, a nazajutrz miałem przyjemność usłyszeć wiele pochwał męztwa, patrjotyzmu i zdolności Polaków.

Mówił wiele o rolnictwie, botanice, o wszelkich ulepszeniach, jakie zamierzał wprowadzić do projektowanych fabryk i rękodzieln w części Polski, obejmującej jego posiadłości, w celu rozszerzenia i ułatwienia handlu w całym kraju. Pokazywał próbki sukna ze swojej fabryki w Dombrownie, na gruncie zakupionym niedawno od księcia Ksawerego Lubomirskiego na Białej Rusi.

Tegoż samego dnia około południa nastąpiła przekąska przed obiadem. Byli obecni tylko jenerał-gubernator Pasek, arcybiskup Mohilewski Siestrzencewicz-Bohusz i ja.

Siedliśmy do stołu z nakryciami przynajmniej dla 30 osób. Reszta obecnych, mężczyźni i kobiety pierwszych stopni, stali w oddaleniu przyzwoitem, tak w salonie jak i w sąsiednich apartamentach; nakoniec książę pożegnawszy się z nami — odszedł, i następnie odjechał z takimże hałasem, jaki panował podczas jego przyjazdu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD LITERACKI.

przez Cz. P.

(*Pogadanki o literaturze węgierskiej* (ciąg dalszy). — *Szkice i ramotki J. Gordona.* — *Karol Forster.* — *Tydzień.* — *Zapiski bibliograficzne*).

— *Pogadanki o literaturze węgierskiej* (ciąg dalszy). Poezja ludowa, jak wszędzie — tak i u Węgrów przechowała się czysta, nieskażona, pierwotna. W niej odźwierciedla się życie węgierskie śród stepów, przypominające pierwotne siedlisko narodu w Mongolji. Z niej tryska ogień wschodniej namiętności i dumy z dokonanych czynów praojców. Duma ze zwycięztw i boleść cierpienia, jakie przez wieki znosili synowie Arpada w ciągłych starciach z Turcją i Austrją, splatają się w podaniach ludowych w przecudne tkanki, pieśni, gawęd i czarodziejskich obrazów. W pieśni ludowej maluje się ojczyzna węgierska charakterystyczniej, niż w pieśniach ludu u innych narodów. W pieśniach ludowych, zwykle spotykamy uczucie — liryzm, w poezji ludu węgierskiego, obok uczucia, obok liryzmu, opisowość przypominającą Iliadę.

Czikos *), Juhas **), bandy cygańskie — i życie ich stepowe, pasterskie, koczownicze — przesuwają się w gawędzie ludowej, niby obrazy czarnoksięskiej latarni.

Węgrów cechowało zawsze pewne rozlubowanie się w pieśni, a jak się wyraża Majlath w swoim przeglądzie literatury węgierskiej: „Pieśń brzmiała zawsze wśród szczęku bitwy, przy ochoczych ucztach, wśród obrad publicznych i w zaciszy patryarchalnego życia naszych praojców; poezja i historja łączyły się z sobą."

Jednakże z poezją ludową w Węgrzech, stało się to samo, co i w innych krajach. Wpływy cywilizacji zachodniej, przenikając myśl i uczucie, że się tak wyrażę jakiegoś dziewiczego narodu, zawsze z początku, zamiast ducha narodowego cywilizacyjnie rozwijać — opanowały go tak dalece, że zwykle zatracał się w obczyźnie. Tak było w Polsce, taksamo i w Węgrzech.

Z przyjęciem chrześcijaństwa, wcisnęła się łacina i wyrugowała narodowy język z ust wykształconych — robiąc z niego język ludu. Za językiem łacińskim przyszła i literatura staroklasyczna, a poezja swojska, narodowa, tylko między ludem się przechowywała, jakby zarżewie Znicza, z którego kiedyś silnym wybuchnąć miała płomieniem.

Uczeni pogardzali poezją ludu, wykształceni nietroszczyli się o to, co sobie ciemny lud spiewał. Język węgierski aż do czasów Józefa II, był można powiedzieć jedynie tylko językiem ludu.

Łacina panowała w sądach i urzędach, szlachta mówiła po francuzku, a uczeni pisali po łacinie lub po niemiecku. Germanizacyjne plany Józefa II, jego zamachy na przyrodzone prawa narodowe, wywołały rozbudzenie się patrjotycznego poczucia i zamiłowanie do ojczystego języka.

Prądy germanizacyjne józefińskie, natrafiły w Węgrzech na silną narodową reakcję. Węgrzy poczuli wreszcie, że język jest duszą narodu, i odtąd pielęgnowali go starannie.

Za następców Józefa II, ustanowiono na sejmach węgierskich, ażeby język narodowy był przedmiotem gruntownej nauki tak w niższych jak i w wyższych szkołach, wreszcie ażeby stał się językiem urzędowym.

Opozycja polityczna Węgrów przeciwko rządowi austrjackiemu, stała się silną dźwignią do rozbudzenia języka i literatury węgierskiej.

Wskutek tego zaniedbania języka, o którem poprzednio mówiliśmy i literatura węgierska, której najstarsze pomniki XV stulecia sięgają, była aż do XIX wieku naśladowaniem literatur obcych. W szesnastem stuleciu spotykamy się z poezją epiczną, dramatyczną, liryczną i dydaktyczną, którą nam pozostawili: Tinödi, Balassa, Szegedi, Rimai i Erdösi.

W siedemnastem stuleciu, równy zastęp znakomitszych musimy wymienić pisarzy, mianowicie: Zrini, Liszti, Koháry, Beniczky, Gyöngyösi a w ośmnastem stuleciu, występują na jaw: Faludi, Radáy, Orczi, Szabó, Virág, Anyos, Verseghy, Endrödi, Kazinczy, Dayka, Kiss, Horvat, Szentmiklossy i inni. Jeden z węgierskich krytyków nazywa dopiero co wymienionych autorów, naśladowcami Niem-

*) Czikos czytaj: Cikosz, mieszkaniec stepu. Cikosze trudnią się hodowaniem i ujeżdżaniem koni stepowych. Podobną postacią w Polsce był Kozak.

**) Juhas czytaj: Juhasz, pasterz.

ców naśladujących Francuzów, Francuzów naśladujących Włochów, Włochów naśladujących Rzymian.

(Dalszy ciąg nastąpi).

— *Szkice i ramotki* przez J. Gordona (z ryciną przedstawiającą zwaliska zamku w Odrzykoniu). Lwów, nakładem autora, 1870.

Autor dał się już dostatecznie poznać publiczności polskiej, z dzieł swoich w rodzaju pamiętników, które po większej części wyszły w Lipsku w bibliotece pisarzy polskich, wydawanej przez Brokhausa. „Pamiętniki J. Gordona,“ zyskały sobie zasłużone uznanie w Polsce, a nawet w Niemczech, we Francji i w Czechach, pojawiły się w tłomaczeniach. Obecne dziełko J. Gordona na 177 małych stronnicach, mieści kilka zajmujących ustępów, z których bezsprzecznie: „Wizerunki dziwadeł historycznych,“ najwięcej budzą interesu. Szczegóły dotyczące charakterów Piotra W. i Suwarowa, są w nich trafnie zestawione, a odznaczają się tem, że dotąd w żadnem polskiem dziele, niemożna było spotkać się z niemi.

— *P. Karol Forster i jego dzieła.* Sami sobie to powtarzamy, a powtarzają nam i obcy tę prawdę, że mało robić, a wiele mówić zwykliśmy zawsze i wszędzie. Wiemy o tem, a mimo tego, niemożemy jakoś pozbyć się tej wady, trującej od dawna społeczność naszą. Mówimy wiele o oświacie, nauce itd., ale nic, albo bardzo mało dla oświaty i nauki robimy. Wstręt jakiś nieprzezwyciężony do czytania, jakaś apatja, opanowały nas zupełnie. Jeżeli czytamy, to rzeczy lekkie, które nas bawią; literaturą bawić, nie uczyć się chcemy.

Najlepszym tego dowodem, obojętność czytającej publiczności, dla dzieł K. Forstera, który od lat kilkunastu obdarza nas „Biblioteką nauk moralnych i politycznych,“ zawierającą dotąd 20 tomów, różnorodnych dzieł wymienionej treści.

Nikt więcej, od naszego narodu nie potrzebuje nauk politycznych, ekonomicznych — boć brak tego zmysłu polityczno-ekonomicznego, to choroba nasza. Lekarstwo podaje Forster, a ciekawiśmy bardzo, ile osób skorzystało z niego?! —

Obok wymienionej „Biblioteki“ — wydał p. Forster 24 książeczek dla klas pracujących polskich, w których w sposób popularny, rozwija nauki moralno-polityczne.

Uważaliśmy za obowiązek, przypomnieć publiczności czytającej p. Forstera i jego użyteczne prace, tem więcej, że dla ułatwienia w zakładaniu czytelni ludowych, p. Forster ofiaruje dzieła swoje po połowie i tak nader niskiej ceny. Mianowicie za 20 tomów „Biblioteki nauk moralnych i politycznych,“ tylko 10 talarów, a za 24 książeczek dla klas pracujących, tylko 2 talary. Zamówienia na te dzieła, przesełać należy pod adresem: „Karol Forster, Berlin, 24 Leipziger - Strasse.“

— „*Tydzień* polityczny, naukowy, literacki i artystyczny,“ pod redakcją J. I. Kraszewskiego w Dreźnie. — Pismo to, jedyne w tym rodzaju, na całym obszarze ziem polskich, jest prawdziwym skarbem dla tych, co wiele wiedzieć pragną, a do czytania mało czasu mają. Jest to istny sklepik, w którym rozmaity, a prawdziwie doborowy znajduje się towar. — Tytuł pisma, jest programem tegoż, a program jakże wiernie, jak ślicznie wypełniony! Niełatweć to zadanie, pomieścić na arkuszu papieru, tygodniowy przegląd polityczny, naukowy, literacki i artystyczny, a przecież myśl genialna redaktora, zdołała wszystkiemu stosowne nadać miejsce, wszystko połączyć odpowiednio w harmonijną całość. Niczego tam niepominięto, o niczem nie zapomniano, jest tam wszystko wiernie podług programu, a takiej wiary, mógł tylko taki mistrz, jak Kraszewski, dochować.

— *Zapiski bibljograficzne* podawane przez księgarnię wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych w Krakowie:

Jachowicza Stan. ś. p. Prace, obejmujące powiastki, bajki i wiersze różne. Kraków 1870, nakładem wydawnictwa „Czytelni ludowej,“ duże książeczki, 8vo str. 78 i 80, po 35 cnt. książeczka.

Janota E. Dr. „Obrazki z życia zwierząt,“ z dwoma litogr. obrazkami, książeczka pierwsza. Kraków 1870, 16ka str. 83, cena 40 cnt.

Chociszewski Józef. „Dzieje narodu polskiego dla ludu polskiego i młodzieży,“ wydanie ozdobione licznemi obrazkami. Poznań 1870, 16ka str. 202, cena 45 cnt. 50 egz. razem wziętych, 8 tal. 10 sgr. czyli 15 złr.

Cegielski H. „Nauka poezji,“ zawierająca teorję poezji i jej rodzajów, oraz znaczny zbiór najcelniejszych wzorów poezji polskiej — uzupełnił Dr. Wład. Nehring, wydanie czwarte pomnożone. Poznań 1869, str. 794, cena 3 złr. 60 cnt.

Nehring Wład. Dr. „Kurs literatury polskiej“ dla użytku szkół. Poznań 1866, 8vo str. 375, cena 1 złr. 80 cnt.

Giller Agaton. „Historja powstania narodu polskiego w r. 1861—64,“ tom I. i II. Poznań 1867, str. 370 i 437, cena 5 złr.

Dąbrowski Jarosław. „Krytyczny rys wojny 1866 r. w Niemczech i we Włoszech“ z mapami i planami. Genewa 1868, str. 216, cena 2 złr. 50 cnt.

Giller Agaton. „Polska w walce,“ zbiór wspomnień i pamiętników z dziejów naszego wyjarzmienia. Paryż 1868, str. 293, cena 2 złr. 50 cnt.

Puzynina Gabr. „Jadwiga,“ dram. Lwów 1869, nakład wydawnictwa „Mrówki,“ str. 73, cena 40 cnt.

Nałęcz Adolf. „Renegat,“ powieść. Lwów 1869, str. 168, cena 40 cnt.

Syrokomla Wład. „Kęs chleba“ gawęda. str. 56. Lwów 1870, nakł. wyd. „Mrówki,“ cena 20 cnt.

Birnbaum Karl Dr. Prof. „Die Kalidingung in ihren Vortheilen und Gefahren.“ Berlin 1869, 8vo, cena 1 złr.

Frąckowiak Andrzej. „Włościanin wzorowy,“ powieść z życia ludu wiejskiego, opowiedział i objaśnił planami i różnemi rysunkami Jan Skowronek. Warszawa 1870, str. 207 i dwa arkusze planów, cena 1 złr.

Turski J. K. „Zochna hrabianka,“ powieść. 8vo str. 219. Lwów 1870, cena 1 złr. 20 cnt.

Meilhac H. et Lud. Halevy. „Froufrou,“ comedie. Paris 1870, cena 3 złr. 50 cnt.

Bławatek. „Kalendarzyk damski na r. 1870.“ Lwów — cena 50 cnt.

Szulc Fryd. „Polska w r. 1793.“ Wydanie J. I. Kraszewskiego. Drezno 1870, str. 383, cena 2 złr. 40 cnt.

„Ośm spraw kryminalnych“ z czasów rewolucji francuzkiej, spolszczył M. I. (Wyjątki z pamiętników Kata Sansona). Warszawa 1870, str. 117, cena 50 cnt.

Bełcikowski Adam. „Hunyadi,“ dramat w 5 aktach. (Wyd. „Mrówki“) Lwów 1870, str. 102, cena 60 cnt.

Smilesa Samuela. „Pomoc własna“ (Self Help) serja druga. Warszawa 1870, 8vo str. 399, cena 2 złr. 50 cnt.

Niemirycz Juljusz. „Badania filozoficzne tajemnicy życia,“ tomów 3, str. 276, 199, 182. Warszawa 1870, cena 5 złr.

Levittoux Henryka Dra med. uniw. paryskiego. „Filozofia natury,“ wydanie drugie, str. 461. Warszawa 1869, cena 5 złr.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA I ROZMAITOŚCI.

(Teatr. — Loterja fantowa — Odezwa założycieli Muzeum polskiego w Szwajcarji. — Tutti frutti).

— *Teatr.* „Ojczyzna“ p. Sardou, dramat, kilkadziesiąt razy grany w Paryżu, potem w Wiedniu, ukazał się i na naszej scenie w tłómaczeniu W. hr. Bobrowskiego. Sam tytuł sztuki, nazwisko autora, powinny były zachęcić do przepełnienia teatru. Zdaje się jednak, że zabawy karnawałowe i nader silne mrozy, stanęły temu na przeszkodzie. P. Sardou tym swoim utworem dał odpowiedź na zarzuty mu czynione o realizm, o malowanie zwykłych postaci, udowodnił bowiem, że jest poetą. — Ileż tam w niektórych scenach poezji, ile siły, efektu! Są miejsca które porywają, unoszą, budzą uwielbienie; inne zaś, które oburzają i przejmują grozą. —

Niepodobna się dziwić, że dramat ten nabrał takiego rozgłosu, że pisano o nim ze wszech stron, a dziwićby się wypadało, gdyby u nas nie osądzono go należycie. Treść bowiem „Ojczyzny“ p. Sardou, tak odpowiada położeniu naszej Ojczyzny, tyle tam jest ustępów, które żywcem odpowiadają naszej historji, że jeżeli Francuz i Niemiec admirował sztukę, Polak musi nią być porwany, uniesiony, zachwycony! —

Przedstawienie z małemi wyjątkami było dobre, a słuszną pochwałę należy się oddać pani Hoffman, p. Bendzie i p. Ładnowskiemu synowi. — „Ojczyzna“ ma być jeszcze kilka razy przedstawioną.

Nie podajemy treści sztuki z powodu, że z przyszłym numerem, zaczniemy ją w piśmie naszem drukować.

* * *

— *Loterja fantowa.* Na pokrycie kosztów zeszłorocznej wystawy lekarsko-przyrodniczej w Krakowie, urządzono loterję fantową. Bilety po 50 cnt. sprzedają się po wszystkich miastach Galicji, a rozprzedaż tych biletów kończy się z dniem 15 marca, zaś 24 marca odbędzie się ciągnienie losów.

Fantów przeznaczonych do wygrania, jest 300, między niemi brosze i kólczyki brylantowe, szmaragdy, łańcuszki, pierścionki brylantowe i inne, sześć złotych zegarków damskich, sztuczki na suknie damskie, szkło, porcelana i wiele różnych przedmiotów.

* * *

— *Odezwa założycieli Muzeum polskiego w Szwajcarji.* Fundacja Muzeum historycznego polskiego w Szwajcarji, wydała następującą odezwę do przyjaciół Polski:

„Kiedy naród po stu latach walki o swą wolność i niepodległość, chce zachować to co ma najdroższego, to jest pamiątki swego narodowego bytu, wtenczas znajduje silne poparcie w opinji publicznej cywilizowanego świata. Mamy tego dowód w odgłosie, który miała w Europie i Ameryce myśl założenia w Szwajcarji Muzeum historycznego polskiego; w powszechnem współczuciu które ta myśl obudziła, i współuczestnictwie w tej fundacji.

Cel bowiem jest wzniosły i szlachetny — idzie o przechowanie dla Polski materjalnych świadectw jej dawnego bytu pod względem historycznym, literackim, naukowym i artystycznym; o zachowanie ich od wszelkiego szwanku po stóletniem łupieztwie, które Polskę ogołaca z muzeów, bibliotek, zbiorów kosztownych, i targa się nawet na jej wiarę religijną i język ojczysty.

Bezustanna protestacja internacjonalna pod formą pomnika w Rapperswylu, przypomina światu olbrzymią zbrodnię przeciw ludzkości, która musi być odpokutowaną, i wielki akt zadośćuczynienia do spełnienia. Muzeum historyczne w temże samem miejscu, uzupełnia tę manifestację i przypominać będzie dawną świetność Polski, prawa jej nieprzedawnione, usługi które oddała cywilizacji i Europie, jej upadek, właśnie w chwili, w której gromadziła żywioły do wyswobodzenia najliczniejszej klasy swych mieszkańców.

Szwajcarja, przedewszystkiem kraj wolności i legalności, nie mogła być obojętną na dzieło tak wielkiej doniosłości. Miasto Rapperswyl, któremu winniśmy przepyszne miejsce na pomnik, ofiarowało na muzeum swój starożytny zamek, który się stał tym sposobem własnością narodową Polski.

Pomimo swej obecnej niedoli, będzie ona prędzej czy później w stanie opłacić koszta znaczne restauracji nieodzownej zamku, którą się zajmują gorliwie założyciele muzeum, aby być w możności jego otworzenia w ciągu lata roku bieżącego.

Tymczasem gromadzą się dary z różnych krajów przesyłane. Jeden z monarchów państw pierwszego rzędu wziął udział w tej fundacji; rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki znajduje się pomiędzy donatorami: sławni pisarze wzbogacają bibliotekę Muzeum swemi dziełami; wydawcy, księgarze, artyści należą do tego szlachetnego współuczestnictwa; towarzystwa uczone przesyłają znakomite dary. Pośpieszamy podać to do publicznej wiadomości i wdzięczność naszą, komu należy oświadczyć.

Publiczność znajdzie w Muzeum szacowne zbiory dokumentów, autografów, dzieł historycznych, medalów, przedmiotów sztuk pięknych, starożytności, kart jeograficznych i etnograficznych itd., które rzucają żywe światło na dzieje Polski. Wobec tych świadectw, usiłowania jej odwiecznego wroga aby przekręcać i fałszować historję, staną się coraz płonniejsze.

Niech nam będzie wolno, kończąc, odezwać się do dziennikarstwa i do przyjaciół szlachetnych Polski w różnych krajach, aby raczyli wziąść udział w tem pięknem przedsięwzięciu, które oddajemy pod opiekę cywilizacji i wolności; patrjotyzm polski je uzupełni.

Dzień uroczystego otwarcia Muzeum będzie ogłoszony przynajmniej miesiącem wprzód.

Villa Broelberg pod Zurychem d. 1 lutego 1870.

W imieniu Założycieli Muzeum:

Hr. Władysław Plater."

* * *

— *Tutti frutti.* Dwutygodniowe, prawdziwie sybirskie mrozy, wreszcie przestały nas męczyć, chociaż jeszcze niezupełnie. Ileż to one balowych zamroziły nadzieji, ile łez i westchnień sprowadziły, bo niejedna zabawa, nie jeden balik tu i owdzie, nie przyszedł do skutku, dla mrozu.

Mówimy tu o okolicy Krakowa, bo co w Krakowie samym, to na przekór mrozom i wiatrom, szumią bale za balami, i zabaw domowych bez liku.

Bal 5 b. m. na dochód wzajemnej pomocy rękodzielników i przemysłowców, niemógł się niepowieść, kiedy się wszystkim balom powodzi w Krakowie. Tańczono do 6tej rano.

W niedzielę 6 b. m. był wieczór tańczący u hr. Adamów Potockich, na którym zebrano 200 złr. i oddano męskiemu towarzystwu św. Wincentego à Paulo, na rzecz zakupna węgli dla ubogich.

We środę 9 b. m. odbył się bal w sali hotelu saskiego, na dochód ubogich uczniów instytutu technicznego. Mimo mrozu, sala dosyć była napełnioną, jednak nie wypadł bal ten tak świetnie, jak bal na Sybiraków.

Gospodyniami balu, były pp. hr. Mieroszewska, Firichowa, Krzywoszewska i Łuszczkiewiczowa. — Jakoś i bez wojskowej muzyki, Kraków tańczyć potrafi, bo i na balu techników, obeszło się bez mundurów na galerji, a muzyka górnicza z Wieliczki i część tutejszej, pod kierunkiem p. Lipy, grała wybornie.

Reduty mniej więcej dosyć tłoczne, ale nie budzą wielkiego interesu.

We środę 23 b. m. odbędzie się bal medyków. Dwie trzecie czystego dochodu, przeznaczone na korzyść biblioteki uczniów Wydziału lekarskiego, jedna trzecia na korzyść Czytelni akademickiej.

Jutro bal strzelecki, na strzelnicy w umyślnie na ten cel przystawionych apartamentach. Czy nie szkoda pieniędzy na bezużyteczne budowle, kiedy sala w saskim hotelu gotowa!?

Również jutro, odbyć się ma w sali redutowej koncert towarzystwa śpiewu: „Liedertafel" — w połączeniu z zabawą tańcującą, a to na pamiątkę 10-letniego istnienia tegoż towarzystwa.

Wkrótce nastąpi bal u prezydenta miasta Dra Dietla — a słychać o balu na rzecz zakładającego się w Poznaniu teatru polskiego.

Dodajmy do tego sobotnie wieczorki w resursie mieszczańskiej, a będziemy mieli zupełny obraz karnawału tegorocznego.

Znaczenie szarady w Nr. 4. *„Pomoc."*

OGŁOSZENIA.

Czesław Pieniążek odpowiedzialny redaktor, właściciel i wydawca.

W. hr. Bobrowski współredaktor.

W Drukarni „CZASU" *W. Kirchmayera.* Rządzca Drukarni *Józef Łakociński.*